

PION

CENA 50 GR

ROK VII NR 3 (276)

WARSZAWA

22 STYCZNIA

1939 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

JAN EMIL SKIWSKI — KATOLICYZM, ANTYSEMITYZM I ZDROWY ROZSADEK
ZBIGNIEW POLANOWSKI — SPOMIĘDZY LAT
JÓZEF CZECHOWICZ — MUZA WYGNAŃCÓW
HENRYK DOMIŃSKI — LITERATURA W GOŚCINIE U EKONOMII
KONRAD WINKLER — „SZKOŁA WARSZAWSKA” I INNI

ROMAN KOŁONIECKI

MILION MYŚLIWYCH W ETERZE

1

Radioodbiornik, różnokształtna skrzyneczka samogrająca i samomówiąca, cudowna szkatułka z bajki, powolna każdemu najdrobniejszemu drgnieniu ręki ludzkiej, był do niedawna przedmiotem, budzącym u wielu niechęć czy nawet wyraźną wrogość. Dla tych, w których stumilowe kroki techniki współczesnej odbijały się echem głębokiego niepokoju, którzy wierzyli, że każdy nowopowstały dziwoląg techniczny pokona kiedyś ducha, jak Dawid Goliata — wynalazek radia stanowił jeszcze jeden akt agresji, zagrażający człowiekowi i kulturze. Dziś ten pogląd należy już chyba do przeszłości; takich, którzy w wielotorowym postępie technicznym widzą jedynie uszczuplenie zasięgu życia duchowego, spotyka się coraz mniej. Jeśli nawet naprawdę niszczy on pewne dobra, urojone czy rzeczywiste — stwarza zamiast nich inne, zdolne w trójnasób powetować wszystkie zawinione przez niego straty. Zatem czy tak czy owak — bilans wypadła dodatnio.

Nieświadomą na polu trwogę przed nowościami technicznymi, którą w sercach prawych intelektualistów podsycała troska o kulturę, można dziś uznać za wygasającą. Jeśli jeszcze obecnie taki np. Georges Duhamel twierdzi w *Défense des lettres*, że radio zabija książkę, tłumi myśl i przytępia wyobraźnię — głos jego rozbrzmiewa w głuchym odosobnieniu. Radio samo swoją coraz bogatszą historią potrafiło odczynić najjadowniejsze uroki, jakie mu przy narodzinach przypisano. Opór intelektualistów został złamany stosunkowo łatwo i prawie na wszystkich frontach, drażliwości i wątpliwości znikają jedne po drugich; bieg zdarzeń udowadnia coraz skuteczniej, że tajemniczy smok może po oswojeniu stać się pożytecznym zwierzęciem pociągowym i że należy to tylko od woli, która nim włada, od siły, która go ujarzmi. Stokroć groźniejsze manifestacje radio wywoływało z początku w nieoświeconych masach: wszak w niejednej to wsi utrzymują dotychczas, że aparat radiowy ściąga pioruny i deszcze, burzę i powódź. Wiele trzeba było wysiłków, by ciemnego chłopca przekonać, że złowroga sieć drutów ponad dachem świątyni ludowej — to drożocenna przędza, z której można tkąć radość i mądrość.

2

Rozwój radiofonii — zresztą nie tylko w Polsce — nie mógł odbywać się zrazu w odpowiednim tempie. Przeszkody równie wielkie, a może nawet większe niż atmosfera niechęci i obojętnego bojkotu, stanowiła ekspansja radiowej — ekonomia. Budowa każdej nowej stacji nadawczej, każdej roz-

głośni o dużym zasięgu była z natury rzeczą inwestycją otrzymania, wymagała wkładu kapitałów prywatnych i publicznych. Z drugiej strony — samo rozpowszechnienie wynalazku, czyli radiofonizacja coraz większych połaci kraju, zależy w wysokim stopniu od sytuacji gospodarczej, od żył bogactwa, pulsujących w organizmie społecznym. Kraje przesycone kapitałami, puchnące od nadmiaru surowców i rozmachu industrializacyjnego, zdolne zapewnić obywatelom wydatny udział w rosnącym dochodzie społecznym, uporały się z tym problemem znacznie szybciej i łatwiej niż inne. Radiofonizacja Polski musiała zwalczać nie tylko przesady, płynące z przesłanek kulturalnych, lecz i zabobony ekonomiczne, które odbiornik w mieszkaniu prywatnym kazali traktować jako przedmiot zbytku, jako wyśkok, na który trudno sobie w danych warunkach pozwolić. Na szczęście, mit ów rozwiął się już zupełnie.

W chwili obecnej kartoteki Polskiego Radia zarejestrowały abonenta, którego zgłoszenie opatrzone zostało kolejnym numerem: 1.000.000. Milion abonentów, milion radioodbiorników w Polsce, milion ust, mówiących wszem wobec i każdemu z osobna o polskiej rzeczywistości! Moment doniosły, uroczysty, niezwykły... Stajemy w rzędzie największych potęg radiofonii europejskiej, manifestujemy radośnie swą mocarstwowość w eterze. Ten próg z widniejącą na nim jaskrawą cyfrą „1.000.000” przekroczyło przed nami zaledwie kilka państw — i to państw rozciągających swe władztwo poprzez niejedną kontynent, rządzących

mechanizmem handlu międzynarodowego i precyzyjnym uzbrojeniem wszystkich bez wyjątku gałęzi przemysłu, produkujących dobrobyt, złoto i moc. Ów magiczny milion — to szczebel, który nas podwyższa w hierarchii narodów świata, to słowo, w którym się kryje cała nasza żywotność i pełna obietnica młodości: polityczna, kulturalna, gospodarcza. Musimy ten pierwszy milion wychuchać i wypieścić, jak chorowite niemowlę, żeby wyrosła z niego wielkość naszej radiofonii, naszej propagandy, naszej roli we współczesności.

3

Żywe wzruszenie ogarnia, gdy się pomyśli o tym bardzo niedawnym a jednak bardzo dalekim okresie popularyzacji radiofonii, który wypełniało krzewienie idei radioamatorstwa. Nim powstały w Polsce pierwsze przedstawicielstwa wielkich zagranicznych firm radiowych, nim zaczęły funkcjonować pierwsze rodzime wytwórnie sprzętu radiowego, ulepszanego nieomal z dnia na dzień — miejsce ich zajmował skromny anonimowy pionier-samouk, który nie tylko sam z rozkoszą doznawał dobrodziejstw najmłodszego pupila techniki, lecz także innych namawiał do wstąpienia w swe ślady. Wiecznie majstrujący przy odbiorniku, skonstruowanym wedle niedoskonałych schematów rysunkowych, radioamator sprzed lat kilkunastu jeden z pierwszych przeczuł i docenił znaczenie, jakie wkrótce radio miało osiągnąć. Już wtedy widział on radiofonię w postaci wspaniałej instytucji jutra, w

postaci nieocenionego instrumentu, będącego w stanie zrewolucjonizować do pewnego stopnia tryb życia licznych zbiorowisk ludzkich.

Lata, w których radiofonia zyskiwała dopiero szersze zastosowanie praktyczne i coraz cenniejsze zaczynała oddawać usługi, były zgola mistyczne. Obecność radioaparatu niszczyła często samotność jednostek, a równocześnie stwarzała pożądanie nowej. Manipulując zawilim systemem wtyczek, guzików i ruchomych strzałek, „prehistoryczny” zwolennik radia przeżywał pełne przygód polowania w eterze. Dziwaczne pudełko reagowało na ruch jego palców symfonii świstów, gwizdów, chrzęstów i powarkiwań, jakby cała nieznaną fauną kosmiczną uciekała w popłochu przed łowcą niepojętym a groźnym. Błądząc po falach eteru, jak poprzez dantejskie *selva selvaggia* — słuchacz trafiał nagle, nieraz przypadkiem, niespodzianie, na jakąś bezimienną zrazu wyspę cywilizacji, która dawała mu znać o sobie dźwiękami egzotycznej muzyki albo obcych lecz serdecznych słów. Nieważne się wydawało imię milej wyspy, ważny był tylko niewysłowiony urok nowej formy podróży; pozwalała ona, bez wychodzenia z pokoju, odwiedzać odległe miasta, poznawać mowę obcojęzycznych ludów, słuchać rytmów niedostępnego życia. Nieraz była to także podróż poprzez czas — gdy odzywały się głosy zmarłych mistrzów śpiewu i mędzów stanu sprzed lat, gdy taśma stila powtarzała reportaże z przebiegu momentów pamiętnych a już przecie minionych, prawie że dawnych. Dziś te „perypetie” mocno spowszedniały, słuchacz może mieć na żądanie każdą stolicę Europy, którą radioaparat — jak harpuna niezawodny — przygwaźdża w ściśle oznaczonym punkcie precyzyjnej skali. Radio przestało udzielać podnień na polu mistycznych, stało się instytucją pracującą racjonalnie i celowo, jedna z czołowych instytucji użyteczności publicznej.

4

Kinematografia i radiofonia są siostrami bliźniimi, które technika wydała na świat w ostatnim dziesiątku lat ub. w. Pierwszy prymitywny pokaz filmowy urządzili bracia Lumière w Paryżu w r. 1895; prawie równocześnie Marconi poczynił swe ostateczne doświadczenia. Związek między kinem a radiem będzie — jak się zdaje — coraz ściślejszy; film dźwiękowy i seans telewizyjny będą jako wyczyn techniczny czymś zupełnie podobnym. Jednak losy obu rówieśniczek wkraczają na tory coraz odleglejsze. Radio ma tę przewagę nad kinem, że potrafi pokonywać przestrzeń. Nie można lekceważyć wielkiej roli utylitarnej filmu — naukowej, dydaktycznej, propagandowej, —

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

poświęcony badaniu najnowszej historii Polski

zawiadania, że prace podjęte nad wydawnictwem pt. „Józef Piłsudski w ilustracji fotograficznej” zbliżają się ku końcowi. Jak wiadomo z poprzednich komunikatów, wydawnictwo kilkutomowej objętości stanowić będzie celowe uzupełnienie niedawno wydanych „Pism Zbiorowych”. Zawierać ono będzie możliwie wszystkie fotografie Józefa Piłsudskiego dokonane w kraju i za granicą, opisane pod względem treści, czasu i miejsca.

Ze względu na specjalny charakter wydawnictwa Instytut prosi wszystkich, którzy posiadają jakiegokolwiek mało znane fotografie Józefa Piłsudskiego, a nie przesłali ich dotąd, aby zechcieli je przesłać do Instytutu, lub zawiadomili o ich posiadaniu.

Po wykorzystaniu zdjęcia fotograficzne zostaną bezzwłocznie zwrócone właścicielowi, przy czym w wydawnictwie będą uwidocznione nazwiska ofiarodawców. Instytut gwarantuje, że zdjęcia będą zwrócone w stanie nieuszkodzonym. Byłoby pożądane, by nadsyłający fotografie załączali do nich szczegółowe objaśnienia treści zdjęcia, miejsca i czasu powstania.

Wobec rychłego już zakończenia prac przygotowawczych Instytut prosi o możliwie szybkie przesyłanie fotografii pod adresem: Instytut Józefa Piłsudskiego w Warszawie, Al. Ujazdowskie 1.

Należy podkreślić, że na skutek poprzedniego apelu Instytutu wiele osób przesłało posiadane fotografie celem wykorzystania, dzięki czemu zbiór Instytutu wydatnie się powiększył, dochodząc do cyfry 4000 zdjęć Marszałka. Instytut przy tej sposobności składa wszystkim tym ofiarodawcom serdeczne podziękowanie.

lecz mimo wszystko największą ilość metrów taśmy z celulojdu długo jeszcze pozerać będzie film artystyczny czy tylko rozrywkowy. Natomiast idee sztuki radiowej są dotychczas w fazie powstawania, istnieją dopiero w niepewnych projekcjach; za to nieprzerwana ingerencja radia w powszednie życie jednostek i gromad staje się faktem dokonanym i nieuchronnym.

Radio wpływa w wysokim stopniu na spoiwość więzi społecznej i trwałość poczucia narodowego. Przejęło ono tę funkcję, gdyż tak kazał naturalny bieg rzeczy, sam — że tak powiem — charakter tego zjawiska, którym jest radiofonia. Naukowe, artystyczne, oświatowe i popularyzacyjne zadania radia rozszerzają się coraz bardziej; jednocześnie zdobywa ono coraz większe znaczenie jako potężny instrument oddziaływań polityczno-społecznych. Granice terytorialne państw i jednolitych obszarów narodowościowych są nadal w układzie sytuacji ogólnoswiatowej liniami decydującymi podziałów, ale wzbogaca się także i różniczkuje inna mapa globu ziemskiego: granice państw i narodów w eterze. Moc i zasięg poszczególnych stacji nadawczych, długość ich fal i konkurencja w tej dziedzinie — to nowe, niedostatecznie zbadane i wyszukanne tereny rozgrywek międzynarodowych. Nie będzie w tym szczypty cynizmu, gdy się stwierdzi, że nowoczesna sztuka rządzenia nie może się prawie obyć bez radia. Trudno i darmo; stanowi ono wyborne narzędzie oddziaływania na świadomość i solidarność mas, czy to skupionych w danej chwili czy rozproszonych. Również i polityka zagraniczna nieraz z tego narzędzia ubocznie korzysta. Dłaczegoż państwo miało by się wyrzekać usług radiofonii, skoro okazują się one wskazane i cenne? Łatwo tedy zrozumieć, że radio — kształcące, wychowujące, bawiące — pozostaje arcyważnym organem sprężystości i synchronizacji życia zbiorowego. Nie tylko na co dzień, lecz i w chwilach wyjątkowych. Wtedy — przede wszystkim.

5

Służba państwowa, jaką pełni i pełnić powinno radio, mobilizuje przeciw sobie wielu niezadowolonych słuchaczy. Utał się nawet pogląd, że to głównie ustroje totalne nadużywają radia dla swych celów praktycznych i ideowych. Tak jednak nie jest: i państwa demokratyczne nie lekceważą znaczenia radiofonii, dlatego też nad działalnością wszystkich rozgłośni, a także nad ich programami rozciągają czujną kontrolę. Można nie korzystać samemu z dogodnej tuby propagandowej, lecz wtedy należy mieć pewność, że i nikt inny z niej nie korzysta, zwłaszcza — przeciwko nam. To proste. Czasem niezadowolony liberalnie nastrojony słuchacz podpira się argumentem, że jedynie służenie nauce jest godnym celem radiofonii. Oczywiście: możliwość porozumiewania się za pomocą radia w komunikacji morskiej czy powietrznej, kontakt niebezpiecznych wypraw naukowych ze światem i wszelkie inne sposoby praktycznego stosowania radia wydają się im już czymś niższym, podrzędnym. W gruncie rzeczy chcieliby oni, by program radiowy odpowiadał we wszystkim ich osobistym, jednostkowym upodobaniom, żeby jego struktura była zgodna z ich poglądami.

Takich egotycznych, anarchicznych założeń radiofonia przyjąć nie może. W miarę wzrostu ilości radiodbiorników, sprawa dogodzenia — o ile tylko można — wszystkim radiodbiornikom bardzo się komplikuje. Konstruktor programów myśli nie jednostkami, lecz całymi środowiskami i regionami, a nawet warstwami socjalnymi i wspólnotami zawodowymi. Ileż wiedzy przygotowawczej, ileż doświadczeń psychologicznych potrzeba, by móc zbudować program optymalny! Trudno tu uwzględnić życzenia indywidualistów. Mozolne studia terenowe i socjograficzne lepszą zawsze wskazują drogę, niż indywidualne postulaty i pomysły. Nie wolno przecieżyć przy tym ani na chwilę zapomnieć, że im większą siłę w życiu międzyludzkim stanowi radio, tym większa ciąży na nim odpowiedzialność. Malkontenci nie rozumieją nigdy, że programy wielkich rozgłośni muszą być zawilgoczone, że muszą ulegać paradoksalnej z pozoru specyfikacji, której skutkiem są np. audycje dla maturzystów czy poborowych. Ale każdy uparty malkontent, każdy zajadły liberal może łatwo postawić na swoim: po prostu wyłączyć antenę. Radio nie jest i nie może być orężem totalizmów, bo nie stanowi środka wywierania przemocy. Poza tym żaden konstruktor programów nie pracuje z dewizą: wszystko dla wszystkich.

6

Agendy radiofonii rosną w tempie zawrotnie szybkim. Trudno się zorientować, co powinno być istotnie serwitutem radia, a co jest niepotrzebnym wkroczeniem w obce kompetencje. Rozpiętość możliwości wykonawczych jest tu tak wielka, że nie wiadomo, co przyjąć w poczet zobowiązań, co zaś zostawić innym ośrodkom działania. Radio może pełnić funkcje gazety, szkoły, teatru, filharmonii, sali odczytowej, kursów dokształcających, itp. *Może, mówimy — ale czy powinno?* Podaje wiadomości — słusznie, jeśli jest w stanie podać je wcześniej niż prasa; uczy — słusznie, jeśli uczy tego co pomija szkoła; nadaje słuchowiska, radiofonizuje utwory teatralne i epickie — słusznie, jeśli czyni to w imię nowych, swoistych form sztuki... Ale zauważmy, że nie uzurpuje sobie cudzych przywilejów, a przynajmniej nie powinno; w stosunku do instytucji, które działają w społeczeństwie, odgrywa rolę tylko pomocniczą, co najwyżej — zastępczą. Dociera tam, gdzie one dotrzeć nie mogą, wyręcza je w tym, co leży poza kręgiem ich możliwości. *Radio jest więc przedłużonym ramieniem wszystkich dźwigni społecznych.* Mogłoby pracować na wszystkich odcinkach

życia zbiorowego, ale świadomie wybiera tylko odcinki opuszczone, uprawia tylko ugory, broni tylko redut zagrożonych. Jeśli postępuje inaczej, staje się zbędne, a czasem nawet szkodliwe.

Z wyluszczonej powyżej przyczyn dalsze postępy radiofonizacji Polski są przede wszystkim problemem wsi. Jeśli kartoteki abonentów Polskiego Radia napęczniają drugim i trzecim milionem, będzie to dowód że równowaga życia społecznego w Polsce staje się faktem realnym, że wieś powoli zajmuje należne jej stanowisko. W chwili obecnej w miastach — zwłaszcza w miastach większych — radiodbiornik nie jest obiektem pierwszej potrzeby, można się bez niego obywać, nie stając się opieszalcem i maruderem zbiorowości, zmierzającej ku określonym celom. Ale wieś potrzebuje radia inaczej, gwałtowniej: tam jest ono apostolstwem nie zastąpionym, tam wetować musi brak szkół, teatrów, gazet; musi dostarczać mieszkańcom wsi tego wszystkiego, czego są pozbawieni dzięki złym drogom, niskim cenom za produkty rolnicze, niedoświadczeniu inteligencji wiejskiej, itd. Dzisiejsze położenie wsi polskiej — to drogowskaz dla ekspansji radiofonicznej: następnych premiiowanych

ZBIGNIEW POLANOWSKI

SPOMIĘDZY LAT

*Pragnę tam iść od dawna, gdzie iść dziś nie warto,
Gdzie kości mitycznych zwierząt,
Między które wiatr upada, jak w bramę otwartą,
Milczące leżą.*

*To psiej trójcy Hadesu spopielale cielsko,
Na nim — szron łąk Persefony.*

*Spod zim sennych przepychu wykwiła zwycięsko
Zapach zgubiony.*

*Białe jezor zdrętwiały, splekany jak kora,
Bezwładnie liże piarżyska.*

*Czuwa wciąż — czy też mogę, tak jak Polska wczoraj,
Tatry odzyskać?*

*Dolina, w którą przedświt kusząco się wlewa:
Pisany dzban Balladyny.*

*Ploną wśród skal, jęczących jak zaklęte drzewa,
Kragle maliny.*

*Z czyich ran ssaly, chciwie, tę czerwień powabną
I w czyich snach im najlepiej?*

*Nie wiem... Obszar pamięci wzrósł: to było dawno.
Wczoraj — przed wiekiem.*

*Tam, gdzie mnie jeszcze nie ma i już nie ma ciebie,
Nieprędko zawiadą kroki.*

*Tam uśmiech nasz ucisza Walkirie na niebie —
Gniewne obłoki.*



TATRY JAWORZYŃSKIE
Widok na Zadni Gierlach od płn.-zachodu

milionerów Polskiego Radia dać musi ko-
niecznie wieść.

7

Jak już zaznaczyliśmy, film od razu — od momentu narodzin — począł zezować w stronę sztuki, podczas gdy radio wyknęło sobie cele naukowe i użytkarne. Być może, pewną rolę tu grała odrębność usposobień obu wynalazców: Lumière, prezentując swe naiwne kino publiczności paryskiego Grand Café, myślał o nim z dziecięcą bezinteresownością — jako o ciekawostce, osobliwej zabawce; Marconi od pierwszej chwili marzył o przewrotach, jakie pociągnie za sobą jego wynalazek, o kierowaniu na odległość okrętami i samolotami, o wprowadzeniu w ruch za pomocą radia maszyn fabrycznych, jednym słowem: o rewolucji w traktowaniu czasu i przestrzeni. Toteż kino oddało się sztuce, stworzyło nie tylko własne środki ekspresji artystycznej, ale nową ideę sztuki i podbija nią szerokie rzesze. Radio również o sztuce nie zapominało, ale w tej dziedzinie nie wyszło dotychczas zbyt daleko poza okres plagiatorski, imitatorski. Nikogo to chyba nie dziwi: możliwość zestrzelania w eterze uwagi całego globu nastęrczała sama przez się okazje bardzo ponętne, a i eksperymenty naukowe domagały się swego, choć najczęściej zostawały do czasu tajemnicą zawodową specjalistów i nie absorbowwały ogółu.

Nie wiem, czy ktokolwiek potrafiłby dzisiaj ukuć bezsporną a pełną definicję sztuki radiowej i czy w ogóle *integralna sztuka radiowa* istnieje. Jedyna ściśle radiowa forma artystyczna, mianowicie słuchowisko, jest jeszcze stale bardzo dowolna i nie wypływa z żadnego wykończono-go systemu estetycznego. Myślę że powstał kiedyś dramat radiowy, obwarowany zawilgoceniem rytuałem, oparty na jednej idei, wolny od pierworodnego grzechu maśladownictwa twórców innego rzędu. Na tę chwilę można poczekać bez pośpiechu i żalu; na razie każdy zwykły reportaż — z jakiegoś obchodu okolicznościowego, z igrzysk olimpijskich lub z posiedzenia parlamentu — stokroć więcej znaczy w skali społecznej, niż najpiękniejsze słuchowisko. Artyzm radiowy powoli się wykształca i pokaże swe odrębne oblicze; w zakresie sztuki — na dzisiaj — donioślejsza wydaje mi się jednak sprawa propagandy, popularyzacji dóbr artystycznych. Jeśli idzie o literaturę, radio nie może powołać do życia twórcy nowego typu, nie może wyręczyć krytyka, nie może zastąpić bezpośredniej lektury; niech zatem informuje, niech nastraja opinię przychylnie dla twórczości, niech uczy szacunku dla nieprzemijających dzieł literackich. To zupełnie wystarczy.

8

Nie warto szukać żadnych omówień uwznioślających, by sprawiedliwie określić pozycję radiofonii we współczesności. Nawet jej najblahsze zastosowanie jest zdobyczą nie do pogardzenia (np. transmisje muzyki tanecznej podczas zabaw karnawałowych). Ale chyba najbardziej podstawową funkcję, spełnianą przez radio, stanowi codzienne wciąganie pojedynczego człowieka w krąg bieżących faktów społecznych. Nie wychodząc z ram życia prywatnego, nie rezygnując w najmniejszej mierze ze swobody zewnętrznej i wewnętrznej, każdy człowiek uczestniczy w tych przygodach emocjonalnych, jakie radio zapewnia masom. W ten sposób odhywa się jakby trening woli zbiorowej, krzepną normy i przyzwyczajenia współżycia międzyludzkiego. Nie przekreślając ani jednego aspektu swej przyrodzonej autonomii, jednostka podwyższa się niechęć w schematycznej hierarchii bytów: oto małeńka próba filozofii radia.

Żeby ten prawidłowy stosunek do osobników i mas utrzymać bez zakłóceń, radio musi strzec pilnie jak najmądrzej okrojonych sobie kompetencji. Musi trafiać pod adres jednostek chodzących luzem, lecz musi także baczyc, by nie pominąć przypadkiem jakichś ważkich zamówień socjalnych. Sprawdzianem tej zawilej taktyki będzie zawsze struktura programów: nie mogą się one wciskać z natrętną ofertą pośrednictwa między inteligenta miejskiego i księżkę, ani też proponować muzyki jazzowej tym, co mają najświeższej marki paterfon, albo — co gorsza — tym, którzy żądają np. zasadniczych elementów wiedzy. Założenia programowe radia — to nie lada kabała. Jeżeli radiofonia zagadnieniu programów nie sprosta, znajdzie się w położeniu owego ucznia czarnoksiężnika, który umiał rozpętać żywioły, lecz nie umiał ich potem opanować. Na razie — pierwszy milioner radiowy owej groźbie bezwzględnie zaprzecza.

ROMAN KOŁONIECKI

JAN EMIL SKIWSKI

KATOLICYZM, ANTYSEMITYZM I ZDROWY ROZSĄDEK

Zawisła nad nami ta straszna kwestia żydowska. Tragizm jej narasta z dnia na dzień. Szukanie wyjścia staje się obowiązkiem i koniecznością. Celem tego artykułu nie jest ani podawanie nowych projektów jej rozwiązania, ani krytyka jej stanu obecnego. Wystarczy sytuację jedynie zaznaczyć. Jest ona tego rodzaju, że z dwóch możliwych dróg rozwiązania — bo są tylko dwie, mianowicie: asymilacji i emigracji — wybieramy dziś drugą. Wybieramy, to znaczy: my i Żydzi. O asymilacji mowy być nie może dlatego, że aby była możliwa, trzeba by na to, by przynajmniej jedna strona jej chciała. Dziś nie chce jej ani strona polska ani żydowska. Pozostaje emigracja. Hasło ponętne. Ale jakże trudna jego realizacja! W tej sytuacji pełnej dramatyzmu jest rzeczą niezmiernie ważną, by wszystkie przesłanki, które się wciąż w krąg rozumowań na temat kwestii żydowskiej, były przejrzyste i nie pozostawiały niedomówień. Właśnie w myśl tego założenia postanowiłem zatrzymać się nieco dłużej nad wywodami p. Marii Winowskiej, które znalazłem w n-rze 272/273 Pionu pt. *Do redakcji „Kultury”*.

Zbyt wielką rolę Kościoła katolickiego w Europie i w Polsce w szczególności, abyśmy mogli rezygnować z chęci naprawienia obiektywnego dociekania, jaka jest jego, Kościoła, postawa wobec zagadnienia żydowskiego. Natrafiamy tu właśnie na jedną z owych ważnych przesłanek, o których wspominałem przed chwilą. Zważywszy, że p. Winowska wystąpiła z poglądami bardzo śmiałymi i bardzo kategoriźnymi, pragnę tu zastanowić się czy te poglądy są słuszne.

Jak dalece kategoriźna jest autorka, tego dowodem może być następujące zdanie, które znajdujemy zaraz na początku jej artykułu. P. Winowska pisze: „Faktem jest, że antysemityzm wyrasta z przesłanek sprzecznych z chrześcijaństwem, że Kościół go potępia — i na to nie ma rady. Tu trzeba wybierać. Nie można być jednocześnie katolikiem i antysemitem”. No, nie przesadzajmy... Dla kogoś, kto pragnie udowodnić, że pogląd ten jest całkowicie fałszywy, następcą się jedna tylko trudność: to nadmiar materiałów... Spróbujmy jednak, nie zrażając się nią, zrobić bodaj jakąś selekcję.

Przypomnijmy zatem, że Kościół katolicki był w średniowieczu inicjatorem ograniczeń i praw szczególnych dla Żydów, które to ograniczenia — precz z przesadą! — można by nazwać hitleryzmem *avant la lettre*. Bo oto Żydowi nie wolno być sługą u katolika i odwrotnie, nie wolno chrześcijaninowi służyć Żydom. Chrześcijankom zabrania się być mamkami w domach żydowskich. Nie kto inny, lecz fundator filozofii katolickiej, św. Tomasz z Akwinu, w liście swoim do księżny Alicji Brabancskiej doradza m. in., by Żydów traktowała jako niewolników, uważa za dozwolone nakładanie na nich specjalnych danin pieniężnych, w poszczególnych wypadkach zmuszanie ich do przymusowego wykonywania pewnych prac, wreszcie uważa za słuszne wyróżnienie Żydów pod względem zewnętrznym, nakazując im noszenie odzieży, odmiennej od chrześcijańskiej. W tej ostatniej sprawie pisze Doktor Anielski z właściwą mu precyzją i przejrzystością: „Odpowiedź jest łatwa: według postanowienia Konecylium powszechnego, Żydzi obojętnej pleci w każdym kraju chrześcijańskim i po wszystkie części ubrania. To samo nakazuje im ich własne prawo, a mianowicie nosić frędzle na czterech rogach ich płaszczów, aby się odróżniali od innych narodów”.

„Po wszystkie czasy” — mocno powiedziane... Albo taki passus: „...według prawa, wolno jest Żydom z powodu ich zbrodni trzymać w wiekuistej niewoli, a w takim razie monarchowie mogliby uważać mienie Żydów za należące do państwa; w każdym razie powinni by używać tego prawa z pewnym umiarkowaniem i nie pozbawiać Żydów pewnych rzeczy potrzebnych do życia”. Tu więc Doktor Anielski

wyraźnie pochwała „antysemityzm uprawomocniony”. Konecylium laterańskie z r. 1214 postanawia między innymi, by Żydzi używali szczególnej oznaki na ubraniu, która wyróżniałaby ich od chrześcijan. Konecylium nie określiło bliżej, jaka to ma być oznaka, toteż w różnych krajach w rozmaity sposób wykonywano ten przepis. Św. Ludwik, król francuski, nakazał aby Żydzi nosili z przodu i z tyłu kawałek materii żółtej itd. Ale oto coś jeszcze bardziej znamienego i do złudzenia przypominającego przepisy dzisiejszych rasistowskich Niemiec. Mianowicie Konecylium paryskie z r. 614 rozciągnęło niezdolność do sprawowania urzędów publicznych nawet na *synów Żydów nauróconych*. Jak zatem widzimy, kwestia krwi i pochodzenia nie była wcale tak znów obca światu katolickiemu, jak to by wynikało z wywodów p. Winowskiej.

Oczywiście na to wszystko odpowie się to, co zawsze odpowiadają ludzie, nie chcący słyseć rzeczy nieprzyjemnych: „szczególne warunki”, „historia”, „układ stosunków” itd. Zapominają tylko, że każda epoka (a więc i nasza) jest epoką *historyczną* i każda z nich obfituje w jakieś „szczególne względy” i operuje „swoistymi pojęciami”, które związane są z pewnym stadium rozwojowym umysłowo-moralnym kraju lub części świata, gdzie odbywają się pewne procesy.

Nie bądźmy jednak jednostronni. Ja również, tak samo zupełnie jak p. Winowska, jestem za tym, aby czarne nazywać czarnym, a białe — białym, i aby w kwestii tak ważnej jak kwestia żydowska unikać wszelkich konfuzyj i zakłamania. Tak więc nie myślę tać, że obok wyżej przytoczonych poglądów, praw i przepisów, których, jak sądzę — jeśli w ogóle słowa coś mają znaczyć — niesposób nazwać *filosemickimi*, można by znaleźć sporo dowodów na to, że Kościół brał Żydów w obronę. Istotnie, równoległe do tych ostracyzmów poszczególne papieże i książęta Kościoła występują bardzo stanowczo przeciwko gwałtom spełnianym nad Żydami. Głównie, co prawda, chodzi tu o nienawracanie Żydów siłą na wiarę chrześcijańską; niebezpieczeństwo, które Żydom dzisiejszym na pewno nie grozi... Ale nie to tylko. Kościół istotnie bierze w obronę mienie i życie żydowskie, a tych którzy — wychodząc z ram prawa — Żydów biją i gnębia, bardzo nieraz surowo strofuje. Paralelizm jakże charakterystyczny!

Bo też my tu ciągle w naszej dyskusji używamy słowa *antysemityzm*. Ale Kościół katolicki zna inne słowo: *asemityzm*. Tak

nie też uczyl mój zacny prefekt, że antysemityzm to rzecz brzydka i niegodna chrześcijanina, natomiast *asemityzm*, jako postawa obronna, jest dozwolony, a nawet zalecany. Rozróżnienie to jest istotnie głębokie i każdy od razu zrozumie, jak wielkie muszą być różnice między ustawodawstwem i praktyką rządzenia antysemicką — i asemicką. Wierzyłem zawsze i wierzę w wielką moc katolickiego *distinguo*, które z najzwyklejszych sytuacji wychodzi obronną ręką. Sądzę co prawda, że gdyby „asemickie” projekty ustawodawcze św. Tomasa z Akwinu oraz poszczególnych Konecyliów, które wypowiadały się w sprawie żydowskiej, miały zwolenników w większości katolickiego kleru niemieckiego... sam Hitler stałby się wkrótce asemitem. Pozostalaby oczywiście kolosalna różnica przesłanek, z jakich wychodzą obie strony: pogańskiego, hitlerowskiego rasizmu — i nauki Kościoła niezłomnego w swych zasadach, ale jakże doskonale umiającego te zasady uzgadniać z duchem czasu. Nie sądzę jednak, by ta różnica była zbyt groźna dla hitlerowskich Niemiec.

W swoim artykule p. Winowska szczególnie uwagę poświęca gwałtom, dokonywanym na Żydach w Niemczech. Rozumiem ją doskonale. Mam zupełnie ten sam co ona wstręt do okrucieństwa. Sądzę wszakże, że waga teoretyczna, którą tej sprawie przypisuje, jest mocno przesadzona. Nasza publicystyka wpada w tę samą jednostronność, w którą popadło wielu pacyfistów. Uważali oni mianowicie, że narody pcha do wojny przede wszystkim okrucieństwo, żądza krwi. Stawiając to fałszywą diagnozę, skazali się na werbalizm, jałowosć i osamotnienie. Ani przez chwilę nie byli lekarzami ludzkości, do czego mieli pretensję. Bo to nieprawda, że z okrucieństwa, brutalności i sadyzmu wynikają wojny. Mają one przyczyny o wiele głębsze, przyczyny, które raczej mieszczą się w wymiarach idealistycznych, a okrucieństwo i sadyzm przycepiają się do wojny już w jej toku, jako pewnego rodzaju „produkt uboczny”, którego okropności nie mam zamiaru pomniejszać, ale który wcale nie jest momentem istotnym w samym zagadnieniu wojny.

Tak samo gwałty żydowskie. Są one straszne i oburzające. Muszę tu nawiasem stwierdzić, że nie spotkałem w Polsce ani jednego człowieka, który by pochwaliał ostatnie represje hitlerowskie, i że nie czytałem ani jednej gazety, która by wystąpiła z poważną ich obroną. Jestem też pewien, że nawet wśród ideologów rasizmu hitlerowskiego znajdują one mniej zwolenników,

niż to się wydaje p. Winowskiej. W bardzo ciekawej książce Louis Gilleta o Niemczech hitlerowskich autor przytacza pewną rozmowę z Hitlerem, w której kanclerz niemiecki w słowach pełnych szczerości a nawet wzruszenia zapewnia, że wcale nie życzy zła Żydom, tylko pragnie, aby ich nie było w Niemczech, bo tu są szkodliwi. Czyżby asemityzm... Represje są wybuchem, który daje znać o głębszych procesach wewnętrznych. Występując przeciw nim, nie przybliżamy się do rozwiązania zagadnienia — podobnie jak lekarz, usuwający zewnętrzny strup, nie przyczynia się do uleczenia choroby nurtującej organizm.

W ferworze polemicznym p. Winowska zapominać zdaje się o tym, że Kościół jest niezachwiany i nieustępliw jedynie w rzeczach św. wiary, natomiast zawsze pełen zrozumienia dla chwili dziejowej i rzeczywistości politycznej. Wiemy wszyscy, jak bardzo boleje Stolica Apostolska, ilekroć świat ogarnia zarzewie wojenne. Niemniej jednak wiemy również, że duchowieństwo błogosławi sprzęt wojenny i odprawia modły za zwycięstwo armii swojego kraju. Oto niedawny przykład: w przeddzień miął wojny abisyńskiej ze strony najbardziej kompetentnej padły słowa wprawdzie nie oficjalne i nie utrwalone w żadnym dokumencie, jednak godzące wyraźnie w agresywność Mussoliniego. Mówiono o tym że naród, który szuka nowych terenów osiedlenia i pracy, powinien to czynić na innej drodze, niż na drodze zaboru i walki orężnej. Ale już w miesiąc po tym doniosłym oświadczeniu, w miesiąc który wyraźnie wskazywał na niedaleki zwycięski koniec wyprawy abisyńskiej, kardynał odprawia nabożeństwo za pomysłność oręża włoskiego — a dziś, któremuż z hierarchów kościelnych postaliby myśl odmawiania królówi włoskiemu tytułu cesarza Etiopii?

Il n'y a que la réalité de choses qui compte — oto zasada każdej polityki i również polityki watykańskiej. Rzesza Niemiecka, choć tak wielkie uczyniła postępy i tak bardzo wzrosła w potęgę od czasu Hitlera, nie jest wcale w tak świetnym położeniu, jakby się wydawać mogło, sądząc z jej sukcesów terytorialnych. I coś bardziej zrozumiałego niż to, że Watykan nie chce się zbyt mocno wiązać z państwem, które nie tylko jest ośrodkiem niepokoju w Europie, ale którego pozycja nie jest bynajmniej tak bardzo pewna. Świadczy to niewątpliwie o jego dużej trzeźwości, o niczym więcej.

Jak dalece artykuł p. Winowskiej prześląknięty jest uczuciuowością, tego dowodem — między innymi — może być swoiste rozumowanie, którym autorka stara się wykazać, że prześladowania Żydów prowadzą za sobą zawsze prześladowania katolików. Autorka artykułu powołuje się na sprawę Dreyfusa i na późniejsze antykościelne wystąpienia Combes'a. Chciałoby się zapytać: gdzie Krym, gdzie Rzym? — Inne elementy, inni ludzie wszczęli kampanię antydreyfusowską, a inni zupełnie byli inicjatorami laicyzacji Francji. Gdzież tu związek przyczynowy? Gdyby Derouède i Barrès — aby mówić o pisarzach — tak silnie zaangażowani w kampanii antydreyfusowskiej, przetrucili się na front Combes'a, dołoby to może podstawę do takiego wniosku. Ale właśnie Barrès napisał książkę *La grande pitié des églises de France*, biorąc w obronę kościoły francuskie przed twardymi prawami Republiki...

Autorka artykułu jest, jak wiadomo, osobą niezmiernie biegłą zarówno w teologii jak i w historii Kościoła. Czemuż więc usiłowała bronić tezy tak niewdzięcznej, ba! nawet niemożliwej do obrony, jak ta, że między Kościołem katolickim i antysemityzmem istnieje przepaść nie do przebycia? Dla mnie odpowiedź jest jasna. Głos jej czulego kobiecego serca przeważał nad chłodnymi argumentami rozumu. Gest jest piękny. Żle by jednak było, gdyby poglądy wysnułe z pobudek wyłącznie uczuciowych miały być traktowane jako odbicie prawdy obiektywnej.

JAN EMIL SKIWSKI

ROMAN SADOWSKI

Ś N I E G

wysypali go na mnie wieczorem późnym najbliższym
zamknęli usta — nie wolaj — biel jest gołębiem, ciszy

ukryłem bruzdy zmagania powloką głębi spokoju
(ktoś nawet lzy w ból zakrzepłe odebrał jak nie moje)

matka plakała długo potem coś do mnie mówiła
słyszałem pewno — lecz nie wiem — przebac mi matko miła!

pola powstały pustką i próżno bym siebie szukał
przez serce zegar związany w dno wieków przestał stukać

śnieg był
śnieg biały był

C H W I L A

noc kleiła wilgotne powieki — czas stał
nie zimno mi — tylko pusto i daleko
i cień mi zajrzał w oczy

a w twoich oczach nie wyczytałem
— co można wiedzieć co jest za nocą i smutkiem
gdy palce w gwiazdach drzewa postrzępione moczą —
przez ciszę szept liść przesiał
odpowiedz

Z KSIĄŻECZKĄ: KKO · M · ST · WARSZAWY · DO · ZAKOPANEGO · KRYNICY
i innych uzdrowisk

DO 200 ZŁ. DZIENNIE WYPŁAKAJĄ, W UZDROWISKACH I WIĘKSZYCH MIASTACH
MIEJSKOWE KOMUNALNE KASY OSZCZĘDNOŚCI Z KSIĄŻECZKI KKO M · ST · WARSZAWY

Informacje: Traugutta 5, Bzelańska 8, Targowa 65, Bagatela 14, Wolska 6.

Anna wstała i opierając się na lasce, krok za krokiem suwała się po pokoju. Brakło jej tchu. Serce ścisnęło się dookoła kleszcze niepokoju, który dławil w gardle, mdlił pod pierściami i nie ustępował ani wobec nowin, ani pod czarodziejską szprycą doktora Rychlewskiego.

Po południu nadciągnęła burza. Około trzeciej zrobiło się czarno. Zaczęły latać przeciebie błyskawice, jak sygnały telegrafu. Anna, usadowiona na swoim miejscu w fotelu przed oknem, z niepokojem i strachem śledziła wymianę ognistych depesz na niebie.

— Prawują się o czyjąś duszę niebios a z czeluściami...

Zawołała Teklę. Kazała jej usiąść tuż przy sobie. Otoczyła ją ramieniem i przytuliła do siebie mocno, z całych sił. Czuli, że niewinność dziecka tworzy puklerz

przeciw złym mocom. Byłaby się owinęła drobnym ciałem Tekli, jak pancerzem świętego Gildy. Była zbyt słaba, żeby ją wziąć chociażby na kolana.

Tekla siedziała sztywna, wystraszona, każdej chwili gotowa do ucieczki. Była jej więcej niż błyskawic.

Zaczęły bić pioruny. Najpierw z daleka okrążyły miasto. Z każdą sekundą zacieśniał się krąg. Już była na polach za miastem, już na przedmieściu, już obok, blisko, a teraz — Jezus! — chyba w sam dom.

Burza trwała trzy godziny. Gromy szękały i warczały jak stado wilków, jak sfera psów, jak jazgot piekielnych strzelb. W głosach wichru brzmiały wszystkie płacze i skargi bitych, opuszczonych, skazanych, potępionych i odrzuconych na wieki. Pelen obłąkanej rozpaczki spadał ten wiatr w kominy, tańczył jak szalenie, śpiewał jak opę-

tany, skuczał jak wygnane zwierzę. Deszcz walił w blachę dachu, w szyby, w drzwi i w ściany. Bezsilne uderzenia zaciśniętych pięści tętniły po całym domu. Ktoś chciał wyrwać się z matni — i nie mógł. Ktoś chciał i nie mógł. Z dalekości odpowiadał płaczom wichru i uderzeniom deszczowych rąk — tylko chichot urągły i świst wyzywający.

Okolo szóstej przycichło. Już tylko ulewa szumiła ostatkiem sił. Przystawaly pod oknem, zacinały się, cichły i tętniły na nowo jej umęczone kroki. Czuli, że jest obojętna i zrezygnowana na wszystko. Jednego tylko pragnie: jak najprędzej wsadzić się do ostatka w miłosierną, ciemną ziemię.

I wtedy — chociaż nie było już prawie wiatru, wyrwała się nagle w pokoju babki rama okienna, mocna i niewzruszona przez

cały czas nawałnicy. Uderzyła o mur, który jęknął. Szyby posypały się w ogród z tłumionym dźwiękiem.

Wszyscy skupili się dokoła fotela Anny, która siedziała wyprężona, bez słowa, zasluchana jakby w głos na powietrzu. Władysław ujął ją pod ramię. Bez oporu, ciężka i bezwładna dała się poprowadzić do stołowego pokoju. Usiadła przy stole milcząca, obojętna na wszystko, jakby w tej właśnie chwili zakończył się cały dręczący proces ośmiu dni.

Po deszczu wyszedł Zielonka z mieszkania. Kiedy wrócił na kolację, był zmieszany i unikał wzroku matki. Anna powoli, z wysiłkiem zapytała:

— Pani Ościszeńska — zdrowieje?...
Po długiej chwili odpowiedział, glądząc łagodnie jej ręce:

— Umarła, mam. O szóstej. Kiedy burza przeszła.

J. GAMSKA-LEMPICKA

KONRAD WINKLER

„SZKOŁA WARSZAWSKA” I INNI

Nasze współczesne malarstwo rozwija się, widocznie malarstwo pod znakiem koloru — ale jego celem ostatecznym, jego punktem dojścia pozostaje zawsze forma. Nie ty graficzna, „literacka”, obrysowana i wyrażająca się z tła jako motywy dekoracyjne — ale ta „malarzka”, przestrzenna,



TERESA ROSZKOWSKA Baranki

stapiająca się wizualnie z całością kompozycji jako kształt tektoniczny wyrażony kolorem. Pod tym względem dystans, jaki nas dzieli od pierwszych impresjonistów, ustawicznie się powiększa, jakkolwiek w plonie przedmiotów zdaje się dominować nad prawdą ich kolorowej rzeczywistości.

Wszystko to jednak — do czasu. Powoli zacznie malarstwo przypominać sobie Holendrów i Chardina, ich nieprawdopodobne wprost wyczuwanie materialności przedmiotu, jego struktury. I wówczas okaże się, że cała ta bezpośredniość i żywiołowa wrażliwość na kolorowość natury, które nam przyniósł impresjonizm, ulec muszą modyfikacji, wzbogaconych doświadczeniami poc-

zannistycznego okresu. Wówczas to odżyją zastępstwo niektóre założenia sztuki ikonicznej, której możliwości ikonograficzne nie zostały dotąd wyczerpane. Ukazały się one burzą w pierwszych latach po okresie „zburzenia i naporu”, w pierwszej fazie działalności „dzikich”, a głównie Déraina, Friesza, częściowo Modiglianego — u nas zaś we wczesniejszej twórczości znanego modernisty, Wład. Lama.

W malarstwie bowiem, gdzie punktem wyjścia staje się Cézanne i jego formalna problematyka, nie ma miejsca na kolorystyczną atrycję. Pierwsza płótna Lamy, które miały sposobność widzieć mniej więcej w latach 1920 — 1925, noszą wyraźne ślady walki o pogodzenie tych dwóch zasadniczych elementów formy i barwy, gdzie mimo pewnych kolorystycznych dywagacji, kwestia formy postawiona była w kompozycji aż nadto jasno i wyraźnie. W pracach obecnie w I. P. S. wystawionych ustępstwa artysty na rzecz koloru i jego autonomii są jedynie dalszym rozwinięciem poprzednich założeń malarzkich, a równocześnie bardziej dojrzałą realizacją formalno-barwnej gry na powierzchni obrazu. W przeciwieństwie do postimpresjonistów spod znaku Bonnarda i Vuillarda, kolorystyka Lama nie traci związku z barwnym naskórkiem przedmiotu; artysta umie wyczuć materię rzeczy i znaleźć dla niej barwny odpowiednik. Mniej wrażliwy na siłę natężenia barwy, posiada za to niemałe wyczuwanie harmonii tonów spokojnych, w miarę załamanych, a przy tym żywych i pełnych blasku. W tonacjach niebiesko-zielonych, akcentowanych plamami żółci i czerwieni, jest najbardziej przekonujący, dając zespoły barwne o dużej szlachetności malarzkiego wyrazu; wszystkie wyobrażone na płótnie przedmioty sprowadza do wspólnego mianownika stosunek wzajemny tonów i wyszukany proceder faktury. W fakturze Lamy, w jego rzuceniu pędzla, śmiałym i instynktownym, wyczuwa się rasowego malarza.

Drugi z wystawców, Marian Szyszko-Bohusz, posiada niewątpliwie niemały in-



E. i M. SEIDENBEUTLOWIE

Aktorka

stynkt dekoracyjny i zmysł do wypełniania większych przestrzeni kolorowych — ale jego środki artystyczne w zakresie barwy (a zwłaszcza formy) nie wyszły zbyt daleko z fazy studiów akademickich na tematy monumentalne. Zdaniem moim, należałoby ograniczyć rozmiar kompozycji, przy równoczesnym pogłębieniu założeń malarzkich i rozszerzeniu skali barwnej, z pominięciem (na razie) czynników dekoracyjnych.

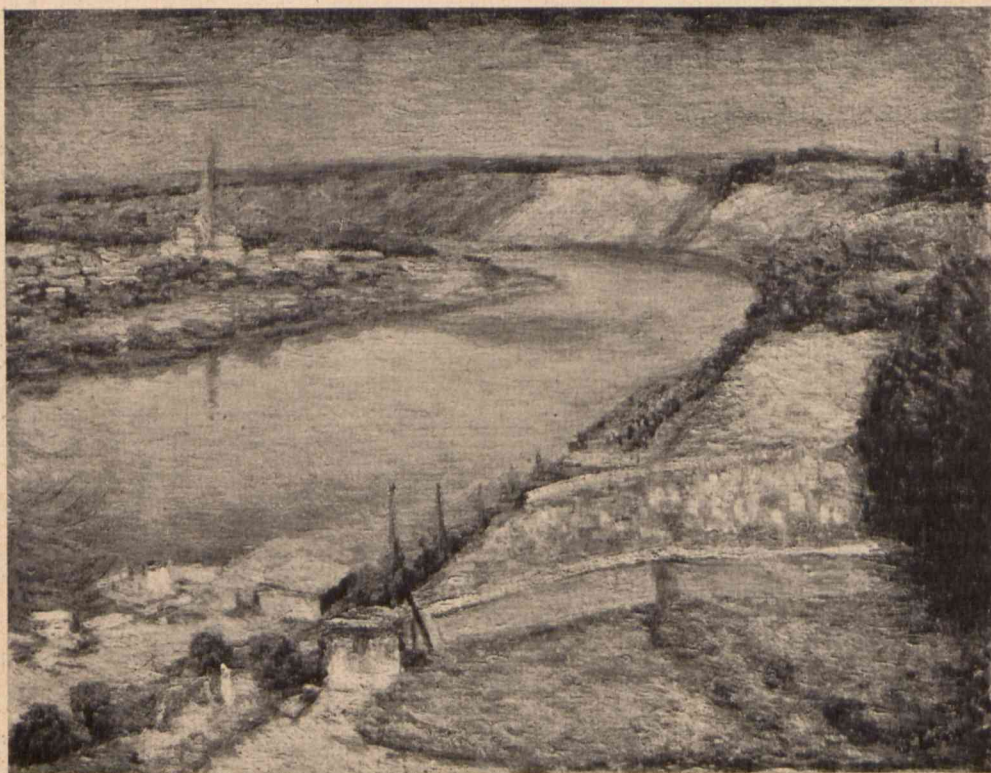
„Szkoła Warszawska”, jako grupa kultuwująca malarstwo sztalugowe, nie bardzo się prof. Pruszkowskiemu udało. Ma ona wprawdzie nieco szerszą orientację plastyczną, aniżeli „Bractwo św. Łukasza”, i cokolwiek większe od Bractwa wyczuwanie wartości plamy kolorowej; jednak, ogólnie biorąc, brak jej przede wszystkim tych wszystkich podstaw natury estetycznej, intelektualnej i psychologicznej, które dają jedyną żywą i bezpośredni kontakt z wielką tradycją malarstwa światowego, od XVIII w. począwszy aż do naszych czasów. Owo „samodzielne” błądzenie po omacku po wyboistych drogach domorosłej problematyki malarzkiej sprowadza wysiłki „Szkoły” co najwyżej do pewnych sugestywnych fikcji w dziedzinie sztuki, które można ostatecznie wykorzystać życiowo, lawirując zrecznie między aspektami dzisiejszego konsumenta sztuki i opinią świata artystycznego — wszystko to jednak na krótką metę. Bo rzetelnego malarstwa, opartego o wartościową tradycję i celu swego świadomego, fikcje te absolutnie zastąpić nie mogą.

Wielka szkoda, że członkowie wspom-

nianych zreszcie artystycznych, tkwiący jeszcze wyobrażeni i przywiązani w atmosferze Akademii, odnoszą się do owych prawd oczywistych z nie ukrywaną prawie abominacją, wierząc mimo wszystko w pewnego rodzaju wymagowaną „autarkię” w sztuce. A tu czas nagli, lata mijają — może ich nie starczy do żmudnego przewyciężanie standaryzowanego „szlif”. Tylko bracia Seidenbeutelowie zbliżają się w swym malarstwie do tych praw ogólnych, które tkwią dzisiaj w punkcie węzłowym zainteresowań plastycznych świata. Inni rozumują po swojemu. M. Bylina, opierając się na Michałowskim, nie widzi za nim Géricaulta. Nie sili się również na zaktualizowanie tej pięknej i szlachetnej postaci malarzkiej, której w jej pierwotnej postaci wskrzeszać dziś nie ma potrzeby. Zdolny i zamilowany w swym zawodzie malarz, Eug. Arct, stawia zbyt ekskluzywnie na czysty kolor, nie dochodząc tajemnicy przeciwieństw kolorystycznych, ani modulacji kontrastów, ani współdziałania kolorów, ani pasaży. Dość swobodnie gra kolorystycznie, przesażony, doświadczenia kolorystyczna przeważa równie na płótnach Palessy, Kocha, Roszkowskiej i Jędrzejewskiej, gdzie nie zwraca się dostatecznej uwagi na stopień nasycenia koloru, ani jego wagę, oraz na stosunek wzajemny tonów na obrazie. Brak w tych malowidłach umiaru i taktu kolorystycznego, co wpływa również ujemnie na formę.

Patronujący tej wystawie swymi portretami, prof. Pruszkowski, zbyt się nie wysilił.

KONRAD WINKLER



WŁADYSŁAW LAMA

Dniestr

NOWY LAUREAT P. A. L.

Z ZAGRANICY

Na posiedzeniu Polskiej Akademii Literatury, odbyłym dnia 15 bm., przyznano doroczną nagrodę „Młodych”. Otrzymał ją tym razem Jerzy Andrzejewski za powieść *Lad serca*. Kontrkandydatami Andrzejewskiego byli: Teodor Parnicki, Bolesław Mieliński, Stefan Otwinowski, Jerzy Pietrkiewicz, Marian Ruth-Buczowski, Adolf Rudnicki, Hanna Malewska, Bogusław Kuczyński i Janusz Rymsha.



JERZY ANDRZEJEWSKI

Autor *Ladu serca* jest szóstym z kolei laureatem P. A. L. Poprzedników miał w osobach: Michała Choromańskiego, Jalu Kurka, Światopelka Karpińskiego, Józefa Łobodowskiego i Stanisława Piętką. Trudno jeszcze raz pisać o książce laureata, która spowodowała jednogłośnie opinię krytyki, niezwykle dla autora przychylną. Andrzejewski jest rekordzistą młodości; jak nikt inny z jego pokolenia, zademonstrował na swych obu książkach wszystkie jej niedowładny i przewagi. Dojrzałość — to równy rytm, dojrzenie — to ślepe skoki. „Drogi nieuniknione” były istotnie nieuniknione, musiało się je przemierzyć własnym wysiłkiem; „lad serca” nie jest jeszcze ostatecznym ładem sztuki, ale jego świetną zapowiedzią, zarysem wyłonionym z wybobraźni, tak jak ze złomów marmuru wyłaniają się torsy Rodina. Odblaski dzieł współczesnych, terminowanie u doświadczonych, problematyka z zasięgu najcodzienniejszych i może dlatego wiecznych stref myślenia, — wszystko to jest dla Andrzejewskiego przydatną formą odlewniczą, którą wypełnia zgodnie z najbardziej własnym zamysłem, z ryzykanckim a upartym trudem.

Jego technika kompozycyjna nie ma jeszcze znamion wyłączeni, legitymującej okrzepłą indywidualność. We wczesnej noweli autora *Drogę nieuniknionych* p. t. *Koniec* czas jest jakby rotorem nasyconym, w którym to, co jest w istocie odrębnym i misternym kryształem, stanowi jedną z tysiąca odpowiednionych cząstek molekularnych. Przeszłość i przyszłość, podmioty i przedmioty przeżyć, zdarzenia i marzenia stają się składnikami jednorodnej substancji narratorskiej. *Lad serca* wprowadza już hierarchię, przedziały i kondygnacje, logiczną czy choć na polity logiczną chronologię i topografię, pragmatyzm dziejących się na naszych oczach żywotów. Wizja rodzi się tu nie z zacieranania konturów, nie z zawilego nasuwania jednej płaszczyzny na drugą, lecz z czujnie kontrolowanego następstwa zjawisk, z niezależnego planu, który naprawdę obowiązuje i narzuca własne rygory. Ta zmiana — to Andrzejewskiego krok pierwszy.

Teraz — mistrzowie. Mistrzowie przybyli na pomoc nie z gotowym schematem, nie ze sztywną ideologią i metafizyką, bo Andrzejewski eksploatuje te kompleksy emocjonalne, które znalazł w samym sobie i świadomie dziełem swym potwierdza. Mistrzów wezwał jako artystów myśli, która ma znaleźć wyraz w architekturze wizji. Epiki wnętrza ludzkiego uczy się Andrzejewski nadal u Nalkowskiej. Skalę losu swych bohaterów zawdzięcza Bernanosowi, a przez niego — Dostojewskiemu. Wybór zmiennych stanowisk obserwacyjnych i samą metodę postrzegania przejął od Conrada. Katolickość Andrzejewskiego nie jest — jak się zdaje — jedyną determinantą jego książki; znamienne jest jednak, że podobnie jak inni pisarze katolicy w Polsce, Andrzejewski idzie po tropach to Bernanosa, to Mauriaca, i nie zdradza wcale ochoty do zainteresowania się np. piarstwem Chestertona, u którego instynkt artystyczny

ny i świadomość sumienia przybierają idealny stan równowagi. Z Chestertonem łączy go to chyba, że tak samo jak autor *Magii* stara się wyjść na spotkanie czytelnikom, obcować z nimi, nie zaś porozumiewać się tylko przez okratowane okno wyniosłej pustelni. Andrzejewski rozumie, że *splendid isolation* jest także grzechem artystycznym: to jest jego krok drugi.

Samoistny plan wizji epickiej rozpięty jest w *Ladzie serca* na szkielecie „prawdy” realistycznej. Andrzejewski chce widzieć ludzi w swych bohaterach, nie zaś symboliczne i problematyczne kukielki. Bierze ich ze świata o trzech wymiarach, by im dodać od siebie czwarty: wymiar sztuki. Nie zawsze mu się to udaje. Niezartyrowane dowody socjalny i wrodzone, „klasowe” nawyki psychiczne wydatnie w tym przeszkadzają. Dlatego czasem chłopci białoruscy myślą i czują u niego w kategoriach wielkomijskiej inteligencji. Realistyczna faktura *Ladu serca* ma charakter zaledwie umowny — nie wiem, czy z pełną aprobatą autora. To dziwne: przecież współczesny reportaż powinien nauczyć pisarzy wnikania w domeny obce, rzeczowego studiowania inności. Tylko tędy wiedzie dziś droga do żywego źródła tradycji — realizmu pięknego, gdzie i „problem” i „malarstwo rodzajowe” i nadbudowa wizjonerska stanowią na równi przymoty dzieła. Totemistyka i tabutyzm „problemu” — zuboża, fanatyzuje, ujednostroi. Andrzejewski *Ladem serca* próbuje zaświadczyc, że „problemy” muszą wyrastać z podłoża, pomiędzy ludźmi, z ich doznań i złudzeń, z żywej epoki i środowiska: to jest jego krok trzeci. Stoimy na granicy tajemniczego kraju artystycznie uzgodnionych wartości.

Donosząc o przyznaniu ostatniej nagrody, *Gazeta Polska* pisze w nrze z dn. 16 bm.: „...dalsza droga Andrzejewskiego rysuje się jasno i wyraźnie. Jak dotąd, tak i na przyszłość młody pisarz nie zrezygnuje z walki o ciężar moralny i artystyczny swojej twórczości. Może przyszłe książki Andrzejewskiego nie będą nacechowane w równie wysokim stopniu doskonaleniem się, rozwojem talentu pisarza co *Lad serca*, który od *Drogę nieuniknionych* dzieli stopień poważnych osiągnięć artystycznych. Niemniej książki te będą na pewno pozycjami, których nie będzie można pominać milczeniem”.

W liście do redakcji *Sygnalów* (Nr 61) Jerzy Putrament, uprzedzając wybór laureata, apeluje do Akademii Literatury, by wyróżniła *Lad serca*, który „prawie pod każdym względem góruje nie tylko nad tegoroczną produkcją młodych literatów, ale i nad wszystkimi nagrodzonymi dotąd dziełami... *Lad serca* nie tylko jest świetną powieścią. Jest on zapowiedzią końca dwóch schorzeń współczesnej literatury polskiej: oderwania się od masowego czytelnika z powodu nieczytelnej techniki i problemofobii. Są to raczej nawet dwie formy tej samej choroby: formalizmu, technicyzmu, antyhumanizmu”. Putrament zwraca się także imiennie do członków Akademii: Nalkowskiej, Sieroszewskiego, Kaden-Bandrowskiego, Goetla, Irzykowskiego i Parandowskiego (?). W liście jego przebiega niespokojne powątpiewanie, czy Akademia wybierze spośród kandydatów tę jedyną, najgodniejszą. A jednak — tak się szczęśliwie stało. Można więc dziś winszować i jurorom i laureatowi.

Nakładem wydawnictwa Nouvelle Revue Française ukazał się nowy tom poezji Juliusza Supervielle pt. *La Fable du Monde*. Zdaniem krytyki francuskiej poeta osiągnął tu najwyższy poziom ekspresji i artyzmu, posługując się środkami formalnymi o zdumiewającej prostocie. Twórczość Supervielle’a cieszy się ostatnio we Francji wielkim uznaniem, zwłaszcza wśród młodych. Świadczyć o tym może poświęcony ostatnio temu poecie specjalny numer czasopisma prowincjonalnego *Regains*, noszącego znamieny podtytuł: „Wolny i braterski organ młodych, którzy z humanizmem uznają przede wszystkim humanitaryzm, a w sztuce — wbrew wszelkim snobizmom i przesądom — szukają przejawów życia i miłości”.

Nowa sztuka Jeana Cocteau, *Les Parents terribles*, grana przez paryski Théâtre des Ambassadeurs, spotkała się w prasie francuskiej z dość krytycznym przyjęciem. Ostatnio w styczniowym numerze *Nouvelle Revue Française* omawia ją obszernie Paul Léautaud, zarzucając jej między innymi „nadmiar doskonałości technicznej”, który — zdaniem jego — sprawia, że sztuka nie budzi wielkiego zainteresowania, bo nie wymaga od widza żadnej pracy myślowej, tak bardzo przejrzyste są jej postacie i sytuacje. *Genre* sztuki również nie podoba się krytykowi, który pisze: „Pierwszy akt — to najczystszy Dumas-syn, a trzeci jest do tego stopnia melodramatem, że odczuwa się wprost zażenowanie za autora”.

W wydawnictwie Grasset ukazała się nowa „biographie romancée” pióra André Maurois — *Chateaubriand*. Książka ta jest jednym z najlepszych osiągnięć Maurois wśród licznych jego powieści biograficznych. Mimo błyskotliwych i, zdawałoby się, jednoznacznych pozorów, mimo obfitości „faktów” biograficznych, jakich nie brakło w bogatym i urozmaiconym życiu autora *Réné*, najistotniejsza treść duchowa tego poety nie jest bynajmniej łatwa do uchwycenia i sprecyzowania. Jedynie głębokiej wnikliwości psychologicznej i niepospolitej inteligencji Maurois należy przypisać, że postać twórcy *Génie du Christianisme* zarysowała się w świetle nowym, niebanalnym, a jednocześnie w sposób nie mniej przekonującym, niż w dawnym, zgoła odmiennych ujęciach poprzednich biografów Chateaubrianda.

Zagadnienie naukowej wartości dokumentarnej surrealizmu roztrząsa praca Jeana Cazaux pt. *Surréalisme et Psychologie*, wydana ostatnio przez wydawnictwo J. Cortiego.

W Berlinie, po „oczyszczeniu” muzeów z impresjonistów francuskich, ma przyjść kolej na malarzy XVIII wieku, od Watteau do Fragonarda.

W Rzymie urządzono wystawę „karykatury anty-mieszczanckiej”, ośmieszającej „przesady burżuazyjne” w rodzaju podawania ręki, kapeluszy, bankietów, weekendów itd.

Jerzy Kaiser wydał nowy dramat pt. *Der Gärtner von Toulouse* (*Ogrodnik z Tuluzy*). Kaiser ukończył niedawno sześćdzie-

siąty rok życia. Kilka tygodni temu opuścił Niemcy, powiększając liczbę pisarzy-emigrantów.

Kurt Heynicke wydał powieść pt. *Herz, wo liegst du im Quartier?* (*Serce, gdzie stanęło na kwaterze?*). Jest to powieść historyczna, w nastroju pogodna.

Edward Munch, wielki malarz norweski, jeden z najciekawszych artystów okresu przedwojennego (Przybyszewski był jednym z najgorętszych jego entuzjastów) ukończył 12 grudnia 75-ty rok życia.

Cierpienia młodego Wertera Goethego męcą ostatnio do przeróbek dramatycznych. Po dwóch *Werterach* teatralnych, o których donosiliśmy w *Pionie*, pojawiła się obecnie w Paryżu filmowa transpozycja powieści Goethego, dzieło reżysera Maxa Ophülsa. Sądząc z głosów prasy — transpozycja ciekawa, trafna, daleka od banalności. Ujrzymy ją chyba w Polsce.

Ernest Hemingway wydał świeżo książkę pt. *The Fifth Column and the first Forty-Nine Stories*. Składa się na nią dramat *Piąta kolumna* oraz 49 opowiadań.

Ukazała się w drugim wydaniu książka Michała Bauera o życiu i twórczości Kristiana Morgensterna, uzupełniona przez Małgorzatę Morgenstern przy współpracy Rudolfa Meyera. Wydanie to zawiera wiele nie opublikowanego dotychczas materiału z zakresu pamiętników, listów, wierszy Morgensterna. Znajdujemy tu również wspomnienia osobiste Fryderyka Kaysslera i innych przyjaciół autora *Galgenlieder*.

Znakomity kwartalnik angielski, *Criterion* T. S. Eliota, zakończył swą działalność. Nowy jego numer, który się świeżo ukazał, ma być zarazem ostatnim zeszytem wydawnictwa. Eliot redagował to czasopismo od lat szesnastu; obecnie postanowił usunąć je z areny działań publicznych. W ciągu szesnastu lat swego ukazywania się — każdy jego numer miał objętość grubej książki — *Criterion* odgrywał ogromną rolę w życiu artystycznym i ogólnoumysłowym Anglii. Było to czasopismo o charakterze artystycznym, filozoficznym i ogólnokulturalnym. Zgodnie ze światopoglądem artystycznym i ontologicznym redaktora — sąsiadowały tu z sobą rozprawy teologów katolickich i utwory nowoczesnych poetów awangardowych, tak z kręgu Eliota i Pounda, jak i późniejszych, z kręgu nadrealistycznego (Penrose), nie wylęczając najmłodszych, a wnoszących ciekawe i istotne wartości debiutantów (ostatnio Prince). — Angielska prasa literacka (*Times Literary Supplement* i inne pisma) wyraża na wszelkich miejscach żal z powodu decyzji Eliota. — Spodziewać się należy, że powstanie w Anglii inne czasopismo lub czasopisma, które postawią sobie za zadanie zapalenie luki, powstałej po usunięciu się *Criterionu* z obszaru czasopiśmiennych działań literackich.

Pośmiertną puściznę Chestertona obejmuje książka, która ukazała się niedawno — *The Collected Works*, by G. K. Chesterton. Jest to różnorodny bardzo zbiór nie opublikowanych dotychczas rzeczy Chestertona — znajdzie tu czytelnik prozę narracyjną, wiersze, prozę essayistyczną, a także i rysunki.

Wśród licznych w Anglii, coraz to pojawiających się antologii poezji współczesnej szczególną uwagę wzbudza *The Faber Book of Modern Verse*. Osoba kierownika literackiego firmy wydawniczej Faber — jest nim T. S. Eliot, znakomity poeta awangardy angielskiej — zdaje się zapewniać kompetentnie i istotne ukazanie poezji prawdziwie nowoczesnej w tej antologii.

Alfred Douglas wydał książkę swych wspomnień i wrażeń — *Without Apology*.

W Pittsburgu rozdzielono nagrody Carnegiego za malarstwo. Pierwszą nagrodę otrzymał Karol Hofer, drugą — Vlaminck.

Ukazała się nowa książka Gertrudy von Le Fort, opowiadanie pt. *Die Magdeburgische Hochzeit* (*Wesele w Magdeburgu*). Tragiczne położenie Magdeburga podczas wojny trzydziestoletniej; wesele młodej mieszkanki Magdeburga, które jest punktem zwrotnym akcji; zdobycie i zniszczenie miasta, ukazane na kształt Sądu Ostatecznego; z gruzów podnosi się to, co wieczne i piękne — oto w grubym zarysie treść nowej książki znakomitej niemieckiej pisarki katolickiej.

Z TEATRU KAMERALNEGO



„Dom wariatów” Laufsa (pp. St. Kwaskowski i H. Różańska)

